NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie K. 37·40! Półrocznie K. 74·80. Rocznie K. 149·60.

Zmiana adresu 1 koronę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 kor., na miejscu specyalnie zastrzeżonem kor. 2·80 za wiersz nonparelowy jednoszpaltowy 4 kor., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 kor.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Wincenty Korolewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: **Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. Łódz, Piotrkowska 62.**

Numer pojedynczy 3 korony.

Rok XVII. Kraków, 10. stycznia 1920. Nr. 2.

Na Pomorskich kresach.



1 Elk; droga nad jeziorem. 2 Jezioro Bełdońśki. 3) Jezioro Gablik. 4) Ostrów; jezioro i miasto.

Na Pomorskich kresach.

Bez kresów Pomorskich byłaby Polska krajem otoczonym zewsząd przez zazdrosnych i wrogich nam sąsiadów, których fakt zmartwychwstania wolnej i potężnej Polski przejmuje wprost żywiołową nienawiścią. Bez tych kresów Pomorskich, bez tego wybrzeża zdanąby była Polska na łup sąsiadom, którzy mogliby z całym cynizmem hamować wszelki



Chata rybacka.



Przystań w Rudczanach.

Na Pomorskich kresach.

dowóz produktów do Polski i nakładać na dowożone do naszego kraju produkty dowolne cła, co uniemożliwiłoby nam życie gospodarcze. Bez tych ziem Polska byłaby jedynie kadłubem, byłaby podobna do dawnej Serbii, która dla braku wybrzeża morskiego dusiła się i wegetowała zdana na łaskę i niełaskę sąsiadów.

Morze dla każdego narodu to płuca, dające mu możność oddechu — morze, to okno, dające mu możność wyjrzenia na świat, bez względu na wolę jego sąsiadów — to otwarcie dla narodu szerokich horyzontów.

Doniosłe ma znaczenie dla Polski fakt, czy Śląsk Górny będzie przyłączony do Polski, czy nie, bo Śląsk ten zadecyduje o naszym przemyśle, jak również doniosłym jest z tych samych względów fakt przynależności Śląska Cieszyńskiego do naszego kraju. Ważną sprawą to sprawa Spisza, Orawy i Czaczańskiego, bo obrony te dadzą zdrowie na szym przyszłym pokoleniom. Nie możemy zrzec się grodów Czerwieńskich użyźnianych krwią naszych ojców i pozyskanych dla kultury pracą kilkudziesięciu naszych pokoleń. Nie możemy wrogom naszym wydać na łup Ojczyzny naszych przewodników narodowych Mickiewicza i Kościuszki — Litwy.

Ale kwestyą wprost bytu — kwestyą istnienia Polski jest przynależność do Polski prowincyi nad morskich t. j. Prus Królewskich, Warmii i Mazurów. Pierwsza z nich otrzymała w państwie Niemieckiem pod nazwą Provinz Westpreussen, dwie ostatnie wchodziły w skład t. z. Provinz Ostpreussen.

A ziemie to odwiecznie i niezaprzeczenie etnograficznie polskie, a faktowi temu nawet tendencyjna statystyka pruska nie może zaprzeczyć.

Mało znane, ale pełne tragizmu są dzieje ziem tych, które już nie zroszone, ale wprost przesiąknięte są krwią polską.

Zacznijmy od byłych t. z. Prus Królewskich. W zaraniu dziejów naszych kiedy Mieszko I. kładł podwaliny państwa polskiego istniało na ziemiach tych rozciągających się wzdłuż brzegu morza Bałtyckiego od Wisły, a więc i od Gdańska, aż po ujście rzeki Odry całkiem osobne, wolne państwo Pomorców najbliższych naszych pobratymców ma-



Na pomorskich kresach: Kratywicka struga.

jące własną dynastyę. Wielki budowniczy Polski Bolesław Chrobry mający na celu zjednoczenie wszystkich plemion Słowian zachodnich pod swoim berłem opanował ziemie te, które zaraz jednak z jego śmiercią od Polski odpadły. Po nim Bolesław Krzywousty opanował je powtórnie i to aż do granic ówczesnego państwa duńskiego. Z chwilą jego śmierci i podziału Polski w r. 1138 między jego synów — słabi jego dziedzice utracili znowu ten ojcowski nabytek, a rządy na Pomorzu.

Ziemie na wschód do Wisły, a więc dzisiejszą prowincyę Ostpreussen zamieszkiwało dzikie plemię Prusów pokrewne Litwinom, które łupiestwami swemi dało się tak we znaki sąsiedniemu polskiemu Mazowszu, że ówczesny książę Mazowsza Konrad sprowadził niemiecki zakon rycerski tak zwanych Braci szpitala niemieckiego, zwanych u nas pospolicie od wyszytego krzyża czarnego na białym płaszczu Krzyżakami i osadził ich w miejscowości Orłów nad Wisłą. W roku 1229 nadciągnęły pierwsze hufce tych dzikich mnichów, którzy podjęli się uspokoić Prusaków.

I rzeczywiście, w niedługim czasie uspokoili ich gruntownie. Krew strumieniami popłynęła — dziesiątki tysięcy Prusaków Krzyżacy w pień wycięli, a niedobitki ich uciekły do bratniej Litwy. Ale z chwilą załatwienia się z Prusakami brakło krwiożerczemu zakonowi żeru, więc rzucili się na wschód.

Tymczasem Mestwia II. na którego dziedzictwo Krzyżacy już ostrzyli sobie zęby, wiedząc, że ojcowizny przed tymi krwawymi zaborcami nie obroni nie mając dziedzica, umierając, zapisał ziemie swoje księciu polskiemu Przemysławowi, jako panującemu bratniego narodu. Nie na wiele się to zdało. Już w roku 1309 Krzyżacy opanowali Gdańsk i wycięli w pień w jednym dniu 10.000 miejscowej ludności. Groza tej rzezi musiała być straszną. Po dziś dzień po upływie 600 lat od tej chwili miejscowe pieśni ludowe opiewają ten krwawy



Zamek w Nilowku.



Jezioro srebrne.

Na pomorskich kresach:

dzień. Następnie opanowali Krzyżacy polskie ziemie Nieszanoską, Chełmińską, Dobrzyńską i całe pomorze polskie. I nastąpiła okropna era w ziemi tej krainy aż do r. 1466. Era ta równa się tylko martyrologi dawniejszych Prusów, którzy znikli z widowni dziejowej.

Próbował wprawdzie król Łokietek odebrać Krzyżakom te ziemie, lecz nawet po szczęśliwej bitwie pod Płowcami w r. 1331 nie udało mu się tego dokonać. Przyszła teraz kolej na Litwę. Krzyżacy wzięli się znowu do nawracania orężem Litwy ostatecznej katastrofie Litwy przeszkodziła jedynie co oba te kraje zostały połączone pod jednym berłem, a wreszcie w roku 1701 ogłosił się ówczesny elektor Brandenburski a zarazem książę Pruski Fryderyk III. królem pruskim.

Tak Polska wychowała na łonie swoim żmiję Krzyżacką, która stała się potem jedną z przyczyn jej zguby.

Prusy Królewskie od r. 1464, w którym, jak to wyżej zaznaczono wróciły do swojej polskiej macierzy odżyły pod łagodnemi rządami Polski, taksamo i Warmia. Zaczęły żyć znowu pełnią życia, jaką daje narodowi tylko wolność.

rękami. Wiele pracy uświadamiającej już tam potrzeba nie będzie, bo serce ciągnie Kaszubów do Polski. Pomódz musimy nie tylko całymi siłami do wydobycia się z pod ekonomicznej zależności od Niemców. Gorzej przedstawia się praca nad Warmią i Mazowszem. Ludność Warmińska katolicka jest w bardzo poważnym stopniu zniemczoną — toż samo ludność mazurska mieszkająca zwartą ławą w rejencyi Olsztyńskiej, t. j. w południowej części prowincyi Ost-preussen. Ludność ta mówiąca językiem polskim, a mianowicie dyalektem mazurskim jest wyznania protestanckiego i dotychczas uważała



Tratwy na Guziance.



Jezioro Lalue

Na Pomorskich kresach:

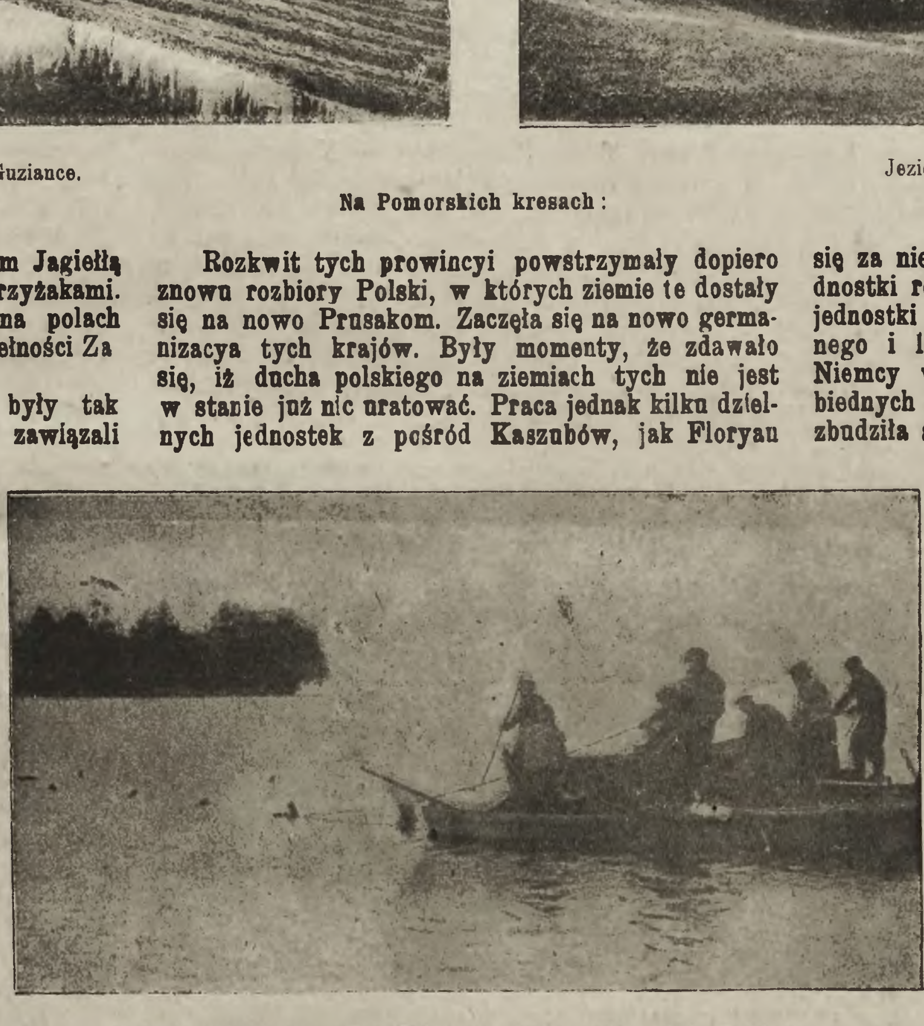
unia Litwy z Polską. Złączone pod królem Jagiełłą narody postanowiły porachować się z Krzyżakami. Lecz nawet piorunujące zwycięstwo ich na polach Grunwaldu w r. 1410 nie złamało w zupełności Zakonu.

Rządy tych „pobożnych" mnichów były tak straszne, że milnący ich wierni poddani zawiązali w r. 1454 Związek jaszczurczy mający na celu przyłączenie ich do Polski i poddali się królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi.

Wybuchła wojna między Polską a Krzyżakami, która trwała lat 12 i zakończyła się pokojem Toruńskim w r. 1466 Krzyżacy zostali zupełnie złamani. W pokoju tym podzielono wszystkie ziemie opanowane przez Krzyżaków na dwie części. Zachodnią część tych ziem oddali Krzyżacy Polsce Ziemie na wschodzie i położone mniejwięcej między Wisłą a Niemnem zostały pod władzą Zakonu pod nazwą Prus Książęcych. W r. 1525 ówczesny mistrz Zakonu krzyżackiego Albert przeprowadził t. z. sekularyzacyę Zakonu, to jest, przemienił go na całkiem świeckie państwo, na co uzyskał zezwolenie tak Sejmu polskiego, jak i króla Zygmunta Starego, który był wujem jego, pod warunkiem składania tylko hołdu, czego zaraz Albert dokonał w tymże roku.

W roku 1618 został księciem Prus Książęcych elektor Brandenburski z rodu Hohenzollernów przez

Rozkwit tych prowincyi powstrzymały dopiero znowu rozbiory Polski, w których ziemie te dostały się na nowo Prusakom. Zaczęła się na nowo germanizacya tych krajów. Były momenty, że zdawało się, iż ducha polskiego na ziemiach tych nie jest w stanie już nic uratować. Praca jednak kilku dzielnych jednostek z pośród Kaszubów, jak Floryan Ceynowa uratowały tę perłę dla naszej Ojczyzny. O ile w najbliższym czasie wojska nasze w wykonaniu traktatu pokojowego z Niemcami zajmą te ziemie, to możemy być całkiem pewni, że zostaniemy przyjęci przez miejscowych Kaszubów z otwartemi



Na Pomorskich kresach: Rybacy na jeziorze Czoos koło Zeńsborga.

się za niemiecką. Co najwyżej spotkać tu można jednostki rozumiejące swoją odrębność od Niemców — jednostki te wytworzyły pojęcie patryotyzmu lokalnego i lokalnej ojczyzny „Mazurenlandu", na co Niemcy woleli już zgodzić się, niż żeby w tych biednych od kilku wieków zbałamuconych ludziach zbudziła się myśl, iż są oni członkami wielkiego narodu i że tam pod Warszawą, Radomiem i Krakowem są miliony braci ich, mówiących tymsamym językiem.

Pracy tam potrzeba, pracy nie cofającej się przed niczem. Jak apostołowie szli zyskiwać dusze dla wiary, ratować tę duszę przed zatraceniem — tak i my iść musimy tam między te cudne jeziora, między tych biednych obałamuconych ludzi i zyskać te dusze dla naszej Ojczyzny. Dzieci to jednej matki Ojczyzny, myśmy ich braćmi, nie przyrodnimi — ale rodzonymi — my ich opuścić nie możemy. Nikogo nie powinno braknąć w tej pracy, każdy według sił swoich dopomódz powinien w tym zbożnym dziele — jak kogo stać, współpracą, pomocą finansową. Tą ciężką, a tak dla stworzenia potęgi naszej Ojczyzny potrzebną pracę wzięło na siebie Towarzystwo Kresów Pomorskich. Dopomóżmy więc im w tej pracy — zapiszmy się masowo w szeregi członków tego Towarzystwa, a przyszłe pokolenia wdzięcznemi nam będą — i spełnią się słowa Roty:



Bärdingsee.



Mikołajki.

Na Pomorskich kresach:

„Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz
Ni dzieci nam germanił".

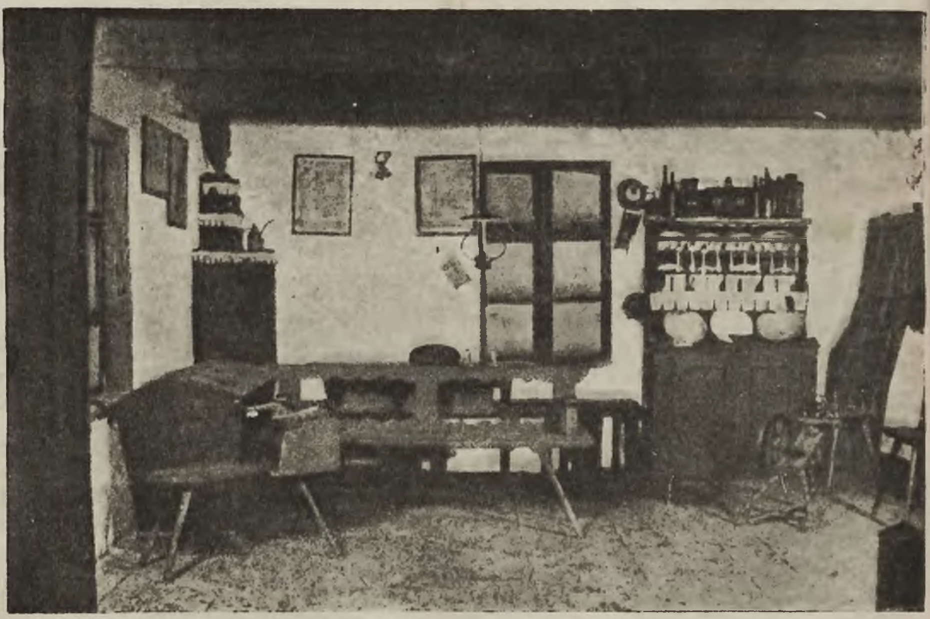
* * *

W Krakowie zawiązało się towarzystwo pod nazwą Koło Małopolskie Towarzystwa Kresów Pomorskich jako rodzaj filii Warszawskiego Towarzystwa Kresów Pomorskich.

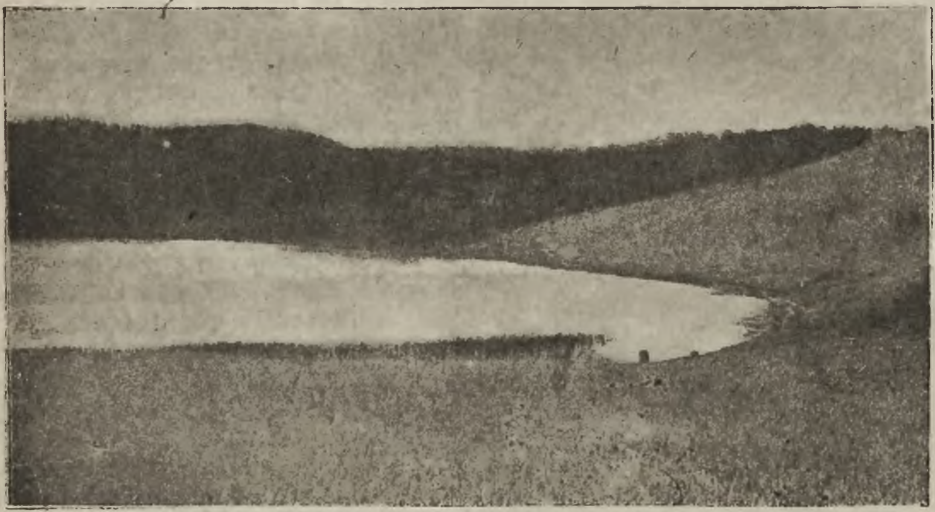
Głównymi celami zarówno Centralnego Towarzystwa warszawskiego, jak i krakowskiego Koła jest zapoznanie ogółu ze znaczeniem prowincyi nadmorskich dla naszego państwa, nawiązanie wzajemnych stosunków, użyczanie pomocy komitetom plebiscytowym Warmińskiemu i Mazurskiemu, oraz rozbudzenie pełni świadomości narodowej u tych po tyloletniej rozłące, do polskiej macierzy wracających braci — wreszcie niesienie pomocy tym prowincyom w akcyi o zdobycie gospodarczej potęgi i niezależności od Niemców.



M zurska rodzina.



Wnętrze chaty mazurskiej.



Na Pomorskich kresach: Czoło morenowe ko o Dorotowa.

Na Pomorskich kresach:

Jubileusz pracownika sceny.

Miejski Teatr Powszechny w Krakowie uczcił w grudniu specyalnym wieczorem 30 lecie pracy ulubieńca szerokich kół publiczności krakowskiej, członka personalu teatru p. Eugeniusza Koszutskiego. Na program wieczoru złożyło się kilka numerów obejmujących różne działy i rodzaje scenicznego kunsztu. Otworzyło go przedstawienie komedyi Bałuckiego „Teatr amatorski", w której jubilat odegrał charakterystyczną rolę Czecha Hubicka. Na dalsze punkty programu złożył się prolog ze „Strasznego dworu" Moniuszki, oraz ładne divertissement baletowe układu p. Koszutskiego, w którem wzięli udział gorąco oklaskiwani pp. Koszutscy, p. Merlińska, oraz owacyjnie witane dzieci ze szkoły baletowej p. Koszutskiego, Jędruś Pyszyński oraz Zosia Kowalkówna i Anielcia Chrościńska. Po komedyi Bałuckiego nastąpiła przy odsłoniętej kurtynie owacya dla jubilata. Artyści teatrów krakowskich ustawieni półkolem otoczyli p. Koszutskiego, do którego w pięknych słowach przemówił dyrektor Jarniński. W imieniu kolegów mówił reżyser operetki p. Lelewicz poczem poczęto wynosić na scenę wśród owacyjnych oklasków publiczności kosze, kwiaty i podarki, z których utworzył się przed wzruszonym jubilatem cały stos.

Jubileusz znakomitego kierownika baletu w Teatrze Powszechnym był równocześnie wyrazem gorącego i szczerego uznania za zapobiegliwą pracę około naszej sceny ludowej. Koszutski ze swoim zespołem jest zawsze artystycznym wyrazem doskonałego pojęcia tańca w naszym teatrze. Trzymając w swoich rękach ster tej tak ważnej części operetkowej dawał zawsze dowód ogromnego zrozumienia i doskonałego wyczucia treści i artystycznej strony baletu. Nie jest to rzeczą łatwą i trzeba dobrego i tak pojętego wyczucia operetki, jakiem się odznacza czcigodny jubilat.

Operetka nie jest jedynie środkiem do kulturalno-oświatowego uprzyjemniania chwil warstwom ludowym, ma ona również to wielkie zadanie wpajać w duszę wysokie poczucie artystyczne i to wielkie swoje zadanie powinna i musi szanować. Stąd też nie wolno jej traktować jako zwyczajne widowisko. Zrozumiała to doskonale dyrekcya Teatru Powszechnego, zrozumieli także wykonawcy operetki, dokładając wszelkich sił, aby z lekkiej muzyki, śpiewu i tańca stworzyć efektowną i podniosłą całość. Zrozumiał to także i Koszutski, dając swemu baletowi ten pokrój i to wykształcenie, jakie balet powinien mieć. I za to dziś w dzień jubileuszu należy mu się szczególny wyraz wdzięczności.



Jubileusz pracownika sceny: Balet p. Koszutskiego.



Jubileusz pracownika sceny: Najmłodsi członkowie baletu p. Koszutskiego.

Guy de Téramond.

Tajemniczy zbrodniarz.

(Tłum. Marya Toczyska).

12

A więc miał wspólnika! Może tego, który nadał na pocztę depeszę?

Jednakże nieprawdopodobnem się wydawało aby zbrodniarz tak zręczny i ostrożny dopuścił kogoś do tajemnicy i zwierzył się ze swoich zamiarów.

Tajemnica należąca do dwóch osób, stałe się najczęściej tajemnicą publiczną.

Chyba, że dwóch ludzi miało tensam cel zgładzenia bankiera.

Lapipe pomimo wysiłków nie mógł dojść do żadnych konkluzyi, jednakże nie zniechęcał się i dalej przeszukiwał niestrudzenie pokój mniemanego przedstawiciela firmy Wolf et Cie.

Dręczyło go bowiem jakieś niejasne przeczucie, że ten pokój nie zdradził jeszcze tego wszystkiego, co zawierał. Sciany oglądane ze skrupulatną drobiazgowością nie wyjawiły mu nic zgoła, pokój bowiem odświeżony został przed paru tygodniami i tapety nienaruszone były zupełnie.

Lapipe więc zabrał się raz energicznie do przejrzenia podłogi mając nadzieję, że przecież natrafi na skrytkę czy też znak jakiś.

Nareszcie po dwugodzinnej pracy, odkrył otwór maleńki, zanadto okrągły i gładki, aby był przypadkowym śladem wbitego niegdyś gwoździa.

— Ho! Ho! — zamruczał Lapipe uśmiechając się — Ciekawość moja już raz nagrodzona została, muszę ją i tym razem skutecznie zadowolnić.

Dłutkiem, wyjętem z kieszeni podważył kawałek układanej posadzki i aż cofnął się ze zdumieniem przed nagłem odkryciem jakie uczynił.

Pod podłogą ukryty był sznur zielony, niegruby, podobny do sznurków łączących dzwonki i lampy elektryczne.

— Do czego ten sznur mógł służyć i dokąd dochodził?

Był mocno w dole uczepiony, bo pomimo wysiłków Lapipe niedał się wyrwać z pod podłogi.

Ale już wieczorem tajemnica rozjaśniła się po części.

Zawezwany przez Lapipe elektromonter odkrył szybko, że sznur łączył się na dole z aparatem telefonicznym bankiera.

Oglądając machinalnie aparat umieszczony na biurku w gabinecie pana Korpstraussa, robotnik wyrzekł po chwili ze zdziwieniem.

— Niech pan patrzy, nie widziałem jeszcze tak ciekawego aparatu, składa się z dwóch części... z płyty telefonicznej zwyczajnej i z drugiej płyty mikrofonicznej. Jest to system wynaleziony w Ameryce. Czytałem niedawno jego opis w jakiejś illustracyi naukowej.

Lapipe zainteresowany przybliżył się, prosząc o bliższe szczegóły.

— Tam w górze — objaśniał robotnik — to jest telefon zwyczajny, odczepia pan słuchawki i słucha. Ale dół aparatu jest urządzony w ten sposób, że można słyszeć dokładnie wszystko, co się mówi w pokoju, choćby najcichszym głosem. To jest prawie tensam system, co w teatrofonach.

Lapipe rozumiał już teraz wszystko.

Zapomocą tego systemu, morderca nie tylko przejmował wszystkie rozmowy telefoniczne bankiera, ale i rozmowy poufne jego rodziny, przebywającej najczęściej w gabinecie, o czem wiedzieć również musiał.

W ten sposób dowiedział się więc o pragnieniu panny Korpstrauss posłyszenia raz jeszcze Romea i Julii, o rozbitem oknie, przyjęciu biletów przysłanych przez niego na operę i wyjeździe starej służącej.

Po dokonaniu zaś zbrodni, morderca powrócił do swojego pokoju i zabrał ze sobą swój aparat. Przerwanie sznurka pod podłogą wskazywało to wyraźnie

Ale jakim sposobem podwójny ten aparat znajdował się w gabinecie bankiera, bez jego wiadomości? Jakże druty przeprowadzone zostały bez zwrócenia niczyjej uwagi? Przez kogo i kiedy?

Pani Korpstrauss, do której Lapipe udał się z tem odkryciem nowem, przypomniała sobie, że na miesiąc przed temi dramatycznemi wydarzeniami, robotnik jakiś z administracyi telefonów przyszedł jednego dnia rano, obejrzeć przewody w ich mieszkaniu i pracował nad nimi prawie cały dzień cały. Zabrał wówczas aparat mówiąc, że nie funkcyonuje dobrze i zastąpił go prowizorycznie tym, który dotąd pozostał na biurku.

— To on! — zawołał Lapipe po wysłuchaniu pani Korpstrauss — To był morderca!

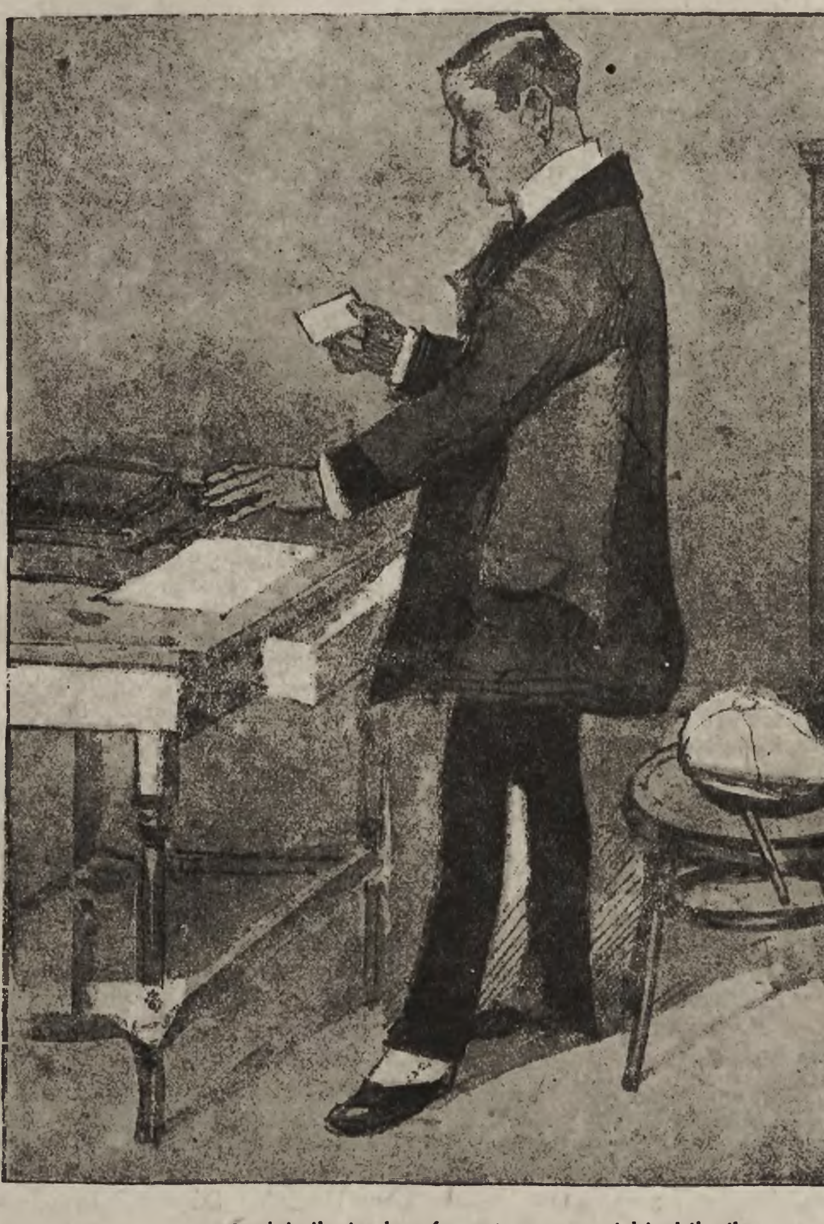
— Tak pan sądzi? — zapytała z powątpiewaniem wdowa.

— Jestem pewny tego! — odparł gorączkowo detektyw — Wkrótce przekona się pani, że się nie myliłem!

Administracya telefonów zapytana bezzwłocznie, odpowiedziała, że nigdy nie wysyłała dobrowolnie robotników do bankiera Korpstraussa. Załatwiano te sprawy, tylko na specyalne żądania abonentów.

Lapipe był silnie podniecony i zdenerwowany. Wykrycie zbrodniarza nie było rzeczą tak łatwą, jak się zdawało z początku.

— Ten łajdak jest nieporównany. — myślał Lapipe, kiedy znalazł się w czas jakiś później na ulicy! Ta zbrodnia jest wprost arcydziełem sprytu i zręczności! Im więcej się w nią zagłębiam, tem ciekawsze napotykam kombinacye. Oh! Dostać do ręki takiego ptaszka, pokazać się jeszcze sprytniejszym od niego! To byłoby wspaniałe ukoronowanie mojej policyjnej kaiyery!



...i zdziwił się dosyć, zastawczy u siebie bilecik....

Newton przeciw Lapipe'owi.

W parę dni później nowy lokator sprowadził się do niezajętego pokoju na szóstem piętrze przy placu Malherbes.

Był to wysoki chłopak, o twarzy sympatycznej i otwartej. Przybywał prosto z Hamburga, gdzie był tłumaczem w hotelu „Bismarck" i „Belweder", z zamiarem wyszukania sobie podobnego zajęcia w Paryżu.

Jego nadzwyczajna grzeczność, szczerość i widoczna inteligencya, uczyniły dobre wrażenie na detektywie, który wdawał się chętnie w długie pogawędki ilekroć go spotkał na schodach lub korytarzu.

Młody Niemiec korzystał z tej znajomości, prosząc Lapipe'a o różne praktyczne wskazówki ułatwienia w znalezieniu posady i zakupnie mebli najpotrzebniejszych, sam bowiem będąc po raz pierwszy w Paryżu, nie mógł się jeszcze w nim dobrze rozeznać i poruszać swobodnie.

Lapipe udzielał mu chętnie rad potrzebnych i pomocy grając doskonale rolę poczciwego, starego buchaltera, lubiącego młodych, pracowitych i energicznych ludzi.

Pewnego dnia rzekł do niego żartobliwie.

— Ah! Mój młody przyjacielu! Szczęśliwym jest pan człowiekiem! Władasz doskonale kilkoma obcymi językami. Chciałbym bardzo być na twojem miejscu! Wyobraź sobie, że raz znalazłem się w sytuacyi bardzo przykrej wobec Anglika, który nie rozumiał wcale naszego języka. Naśmiałem się i nazłościłem dosyć tego pamiętnego dnia.

Niemiec zaciął wargi i odwrócił się lekko, aby nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

Anglikiem, o którym mówił Lapipe był on sam. Newton przybył rzeczywiście z Niemiec.

W nieustannej gonitwie za nieuchwytnym mordercą miliarderki z Nev-Yorku, znalazł się w Hamburgu, dokąd przybył wezwany telegraficznie przez władze policyjne. Po zawinięciu bowiem do portu statku „Cunard-Line", zaaresztowano tam pasażera, który odpowiadał w zupełności rysopisowi mordercy, nadesłanemu z Ameryki.

Zaszła tu jednakże gruba pomyłka. Pasażerem owym był „król słoniny", Mr. Rockferbild z Chicago w swojej własnej osobie, którego natychmiast musiano wypuścić na wolność.

Newton powrócił, więc wściekły z tej nieudanej wyprawy i zdziwił się dosyć, znalazłszy u siebie bilecik od baronowej Branerwerskiej, wzywającej go bezzwłocznie na poufną rozmowę.

Działo się to w kilka dni po dokonanej zbrodni na placu Malherbes.

Baronowa Olga Branerswerska była osobistością bardzo znaną w kolonii cudzoziemskiej Paryża.

Była ona córką generała rosyjskiego, a wdową po pułkowniku finlandzkim, młoda i nadzwyczaj ładna.

Zjawiła się ona nagle w Paryżu, przybywszy z Petersburga i natychmiast wszystkie salony najwytworniejsze stanęły przed nią otworem.

W lasku Bulońskim, na premierach, oficyalnych przyjęciach i koncertach, wszędzie, gdzie zbierało się najelegantsze towarzystwo, piękność jej i wspaniałe tualety wywoływały prawdziwą sensacyę, a cała elita polityczna i artystyczna cisnęła się w dnie jej przyjęć do jej mieszkania przy ulicy Bosquet.

Co prawda, element wojskowy przeważał zawsze w jej salonie. Każdy mężczyzna noszący uniform, był tu jaknajlepiej przyjęty, a baronowa Olga z uroczym uśmiechem tłumaczyła ten wybór przyzwyczajeniem od lat dziecinnych do przebywania jedynie w towarzystwie oficerów, jako córka i żona wojskowego.

A przytem zupełnie naturalną rzeczą było, że młoda kobieta, wybitna sportsmenka i gorliwa zwolenniczka polowań, lubiła się otaczać dzielnymi, odważnymi towarzyszami, gotowymi zawsze na jej usługi.

Krążyły po Paryżu różne anegdoty, wysławiające odwagę jej i szaloną śmiałość.

(Ciąg dalszy nastąpi).

O sytuacyi na wschodzie

Nasza sprawa na wschodzie ostatecznie przeszła w stadyum znacznej zwyżki polskich walorów. Nie było to rzeczą bardzo łatwą, jak zwykle w przewartościowaniu kwestyi tak wielkiej wagi jak przyszłe wschodnie granice. Trzeba bowiem dobrze pamiętać, że konstelacya wschodu będzie miała decydujący wpływ na ustrój nawet Europy zachodniej. Wrazie partackiego i bez żadnego planu, uskutecznionego jej rozwiązania, siłą faktu musiałoby się wytworzyć blok nieustannych sporów w rezultacie będących, tylko zarzewiem niepokojów, które z pewnością nie zdołałaby rozciąć tego tak trudnego dla zachodnio-europejskich główek węzła gordyjskiego polityki ententy. Niebezpieczeństwo było wielkie wobec faktu nieustannej opozycyi Anglii, która z uporem nierozumiejącego sytuacyi kupczyka obstawała przy kursie swojej giełdy, zakrywając oczy na fakt, że nagły spadek jej walorów od dnia dzisiejszych wysokich akcyi jest oddzielony tylko bibułką, co więcej bibułką bardzo lichego wyrobu, już bankrutującego fabrykanta. To też w angielskich retortach począł się wytwarzać potworek o dziwolągowych kształtach, o którym już w pierwszej chwili mówiliśmy, że musi mieć żywot kilku godzin zaledwie. Było to namacalnym faktem, który się w ostateczności utrzymał, tak, że dziś już zmiana frontu jest zadecydowaną. Potworek zginął mimo zabiegliwych leków wszystkich angielskich lekarzy.

Oddanie Polsce Galicyi wschodniej definitywne nie można nazwać tryumfem naszej polityki, bo było to przecie jedynie ocknięciem się chorujących na manię jak najrozleglejszego kwaterowania swoich interesów polityków koalicyjnych. Oczywiście, że jak to się zresztą dzieje codziennie musiano budzić protestami i głośnym krzykiem, a nawet groźbą. Prawda, że to metoda niemiecka, ale bardzo skuteczna. Trudno, taką już moralność w polityce wytworzyła wojna.

Naturalnie, że cała kwestya jest także zbiegiem pomyślnej konstelacyi politycznej w myśl często niepraktycznej zasady, że fakty tworzą fakta. Tak samo i tutaj.

Z zamąconej wody rosyjskich stosunków poczyna się coraz wyraźniej wyłaniać nowe niebezpieczeństwo. Z chwilą gdy armia Petlury przestała istnieć, gdy Denikin raz jest na wozie to znowu pod wozem, ale najczęściej pod wozem — Polska jest jedynym twardym ośrodkiem na wschodzie polityki antybolszewickiej. Posuwanie się krok za krokiem naszej armii siłą rzeczy jest miarą rozgraniczenia naszego posiadania. Gdyby z drugiej strony sympatye wskutek niefortunnego rozwiązania naszych granic na forum konferencyi paryskiej podcięły nam podstawy akcyi przeciwko bolszewikom — a tak musiałoby być — ośrodek polski musiałby się równocześnie zachwiać, a wreszcie zwalić. Byłoby to podpisanie oboma rękami tryumfu rosyjskich sowietów, a to już zmieniłoby sytuacyę nadzwyczajnie.

Dążenie Anglii do układu z bolszewicką Rosyą skończyły się kompromitacyą zachodnio-europejskich handlarzy, ale z drugiej strony coraz wyraźniejszy staje się sojusz bolszewików z Niemcami, co jasno tłumaczy niezmierne trudności, jakie się spotyka z ratyfikacyą traktatu pokojowego. Traktat ten, który jedynie w perspektywie dziecinnego patrzenia jest wyrazem zwycięstwa koalicyi, mimo ustawicznych ustępów, które wkrótce skończą się już bardzo dalekiem kompromisem, przekreślającym grubą kreską pozorne zyski, osiągnięte ze zwycięstwa — jest doskonałym podłożem do bardzo skomplikowanej polityki niemieckiej, już w obecnej chwili ścierającej się na łamach fermentu bolszewickich zabiegów o pozyskaniu hegemonii w przyszłem państwie rosyjskiem.

Temsamem i sytuacya w razie zwycięstwa, zresztą wcale prawdopodobnego Niemiec stanęłaby na punkcie *status quo ante*. Przemawiają zatem bardzo widocznie dążenia monarchiczne w Niemczech, które spełnione byłyby już ostatnim aktem ich zwycięstwa i bolesnym epilogiem koalicyjnej komedyi omyłek. Stąd też i plany angielskie musiały uledz natychmiastowemu przegrupowaniu, co wreszcie stworzyłoby nową konfiguracyę wchodniej polityki. Wobec alternatywy oparcia przyszłego wschodu, albo o rzecznych niemieckich handełesów, albo wypowiadającej się za koalicyą słowem i czynem Polski wybrano drugą, zrezygnowawszy częściowo z niedorzecznego maximum walorów angielskich na wschodzie. Anglia wreszcie doszła do przekonania, jak bardzo jest potrzebną silna Polska, jedyny element ładu i porządku i uczciwej polityki na wschodzie i wreszcie uświadomiła sobie w zakneblowanej od wszelkich tłomaczeń głowie, że byłoby najwyższym błędem osadzić Polskę na glinianych nóżkach jakiegokolwiek prowizoryum.



O sytuacyi na wschodzie: Grób poległych bohaterów na Białorusi.

Z kolei rzeczy oddanie nam Galicyi wschodniej jest wyznacznikiem i dalszych naszych granic, które muszą iść po linii, wykreślonej przez naszą zwycięską armię, a więc Kamieniec Podolski, Szepetówka, Baranowicze, Wilno, Mińsk oto minimum naszych żądań na wschodzie. Linie Dniepru i Dźwiny stanowiły dopiero teren, gdzie się ścierały niegdyś życzenia Rosyi, to też poza nią nie mamy zamiaru się posuwać. Jeżeli jednak tutaj nie oprą się nasze granice, siłą rzeczy stworzy się jedynie drewniany parkanik, który czy jutro, czy pojutrze upaść będzie musiał. Czynnik etnograficzny nie może na wschodzie odgrywać takiej roli, jak w częściach zachodnich i z tem się liczyć należy, że gdyby Polska nie zajęła obszarów, zamieszkałych przez nieuświadomioną narodowo ludność, zajmie je kiedyś Rosya i dlatego dziś musimy zakreślać granice nasze poza linię Zbrucza, równocześnie rozwijając nasz mandat, czy protektorat jeszcze dalej.

Koalicya nie kryje się z tem, że za cenę naszych granic wschodnich musimy wszelkimi siłami dołożyć starań do położenia kresu zamętom rosyjskim, od czego dotychczas wcale się nie uchylaliśmy. Armia nasza ochotnie idzie do walki z bolszewikami, ale koalicya musi się z tem liczyć, że wrazie niespełnienia naszych, bezwarunkowo do egzystencyi koniecznych żądań, i ta armia założy protest jak tego zresztą były już dowody.

W stosunku do nowej, wytwarzającej się sytuacyi i armia nasza liczy się z konfiguracyą frontu, wobec zmian, które dokonuły się przez ściągnięcie oddziałów denikinowskich. Ale i armia nasza musi się opierać na czemś konkretnem.

Tak więc próba kompromisowego załatwienia sprawy wschodniej aranżowana przez Anglię rozchwiała się. Bolszewicy poczynają przygotowywać ostatnioaktową ofenzywę przeciw Polsce i teraz jasno zaznaczają, że co do ich przynajmniej polityki nie należy mieć żadnych wątpliwości. Jeżeli więc dziś sytuacya wchodzi w stadyum niezmiernie krytyczne, musi się całą winę przypisać Anglii, która wreszcie przeziera troszeczkę z poza fali swoich egoistycznych interesów, co więcej zgadzając się na proponowanie przez Francyę rozwiązanie kwestyi polskich granic, daje dowód, że gra została przerachowaną. Atuty przechodzą stąd w ostatniej chwili w nasze ręce.

W ten sposób stoimy u wrót nowego rozwoju wypadków na rosyjskim terenie. Świta jakaś nadzieja, że te wypadki przyniosą ze sobą już nie krzywdę, ale nagrodę za poniesione trudy. Patrzymy w tę przyszłość zupełnie jasnym wzrokiem, mając tę nadzieję, że realny ten interes ententy pójdzie po linii racyonalnego rozwiązania, nie pozwalającego już na dwulicowe stanowisko. Sytuacya jest dziś dość poważną, aby się wdawać w jakiekolwiek targi. W polityce targi są najsilniejszym elementem obstrukcyjnym, a polityki obalenia musimy się strzedz jak ognia. Państwa koalicyjne muszą wreszcie dojść do przekonania, że ich stanowisko na wschodzie jest raczej pierwszoplanowego widza, ale nie pierwsze skrzypki wygrywającego koncertanta. Chcąc objąć stanowisko dyrygenta musi się przedewszystkiem znać dobrze nuty, a dotychczasowe wypadki jasno wykazały, że niejednokrotnie koalicya nie umie rozróżnić klucza basowego od wiolinowego. I z drugiej strony niewolno w ramach konstrukcyi przyszłego pokoju tworzyć jakiekolwiek wybujałości, bo wszelkie anomalia zawsze się mszczą, a zwłaszcza na terenie tyle zagadek mieszczącego w sobie chaosu rosyjskiego. Trudno, tu musi się grać w otwarte karty, bo szachrajstw nie podpisze nikt, jak się o tem przekonała tak zawsze zręczna i trzeźwo patrząca dyplomacya angielska.



Żołnierze nasi przy pracy poza frontem.



Patrol telefoniczny przy pracy.

O sytuacyi na wschodzie.

Kronika tygodniowa.

I jakoś szczęśliwie udało się nam przebyć i koniec świata i święta Bożego Narodzenia i koniec roku. Życie zaczyna powoli wchodzić na zwykłe tory, dają się bowiem odczuwać te same kłopoty i braki, które dokuczały nam w roku poprzednim, z tą jedynie różnicą, że powtórzą się trzysta sześćdziesiąt sześć razy.

Możemy zatem rzucić okiem poza siebie, aby sobie przypomnieć wrażenia z drugiej połowy grudnia, kiedy to nasze nerwy były w takiem napięciu, że poprostu nie mogliśmy się zdecydować na to, o czem myśleć, do czego się przygotować, co ważniejsze.

Jednym koniec świata zabił w głowę takiego klina, że zrezygnowali zupełnie ze świąt, bo i pocóż się do nich przygotowywać i wydawać naprożne pieniądze, skoro to wszystko pójdzie na marne, inni znowu kpili sobie z owego końca świata, myśląc tylko o tem, jakie będą święta, czy magistrat postara się o ryby i na ile koron wypadnie kilogram. Jedynie pewnem było zakończenie roku, które, jak zwykle, przypadało na dzień 31. grudnia, w którym św. Sylwester obchodzi swe imieniny.

Co było z końcem świata wie każdy. Od 17. grudnia przez dni cztery z rzędu oczekiwaliśmy nań napróżno, a dzień 21. grudnia (niedziela) był dniem ogólnej radości.

Obudziwszy się rano w Krakowie w zimnym, bo nieopalonym pokoju, a nie w dziurze słonecznej doszliśmy do przekonania, że pan Porta się omylił i musieliśmy przyznać racyę komunikatowi krakowskiego obserwatoryum, które przestrzegało przed zbytecznem przejmowaniem się amerykańskiemi przepowiedniami.

Było wprawdzie w dniu 17. grudnia trochę więcej mrozu, niż zwykle, ale się też i na tem skończyło A i mróz długo nie trwał, a to dzięki Weronice, mającej nań radykalny środek zaradczy, który, jak sama powiada (a ja potwierdzam...) nigdy nie zawodzi. Należy tylko policzyć dwunastu łysych, a mróz dyabli wezmą. I tak się też stało, bo w sobotę mieliśmy już odwilż, ciesząc się przecież nadzieją, że w myśl zapowiedzi św. Barbary Boże Narodzenie będzie „po lodzie“.

Jak się jednak w dalszym ciągu pokazało, zawiodła w tym roku (jak zresztą czyni to już od lat kilku!...) i św. Barbara.

W Davos spadły wprawdzie ogromne śniegi, a lawina zasypała kilka domów, gdzieś tam nawet pociąg koalicyjny utknął w śniegu, a na Atlantyku były wiatry, ale to nie wystarcza. Najważniejszy punkt programu, to jest trzęsienie ziemi, odpadł, choć próba, urządzona w dniu 28. listopada w Kalabryi, wypadła bez zarzutu.

Koniec świata zrobił zatem *fiasco* i okazał się zwykłym amerykańskim humbugiem, podobnie jak i wiele innych, pochodzących stamtąd zapewnień i informacyi, o czem zresztą poprzednio już wspomniałem.

Radowano się więc ogólnie w dniu 21. grudnia, to jest gdy zapowiedziany czas krytyczny minął, żałując tylko, że nie jest jeszcze uruchomioną fabryka polskich wódek w Podgórzu, aby można było popić z radości, ale też i na frasunek, bo święta za pasem, a z powodu końca świata prawie nikt się do nich należycie nie przygotował.

Na te przygotowania został zaledwie poniedziałek i wtorek, na środę przypadała wigilia.

Magistrat, pewny, że koniec świata będzie, nie postarał się na czas o rybki, nic też dziwnego, że doryweczo przeprowadzone kupno było i niewystarczające i po cenach dość wygórowanych, choć potem ogłoszono całą litanię wydatków z tem połączonych.

Aby się na przyszłość od tego uchronić, a wiadomo, że święta Bożego Narodzenia przypadają co roku, byłoby wskazanem, aby ludność uchronić od wyzysku spekulantów, czyhających na każdą taką sposobność, postarać się o własne hodowle ryb. Mamy już kamieniołomy w Miękini, kopalnie węgli w Jaworznie, dlaczego nie mielibyśmy mieć i własnych stawów z rybkami?... Projekt ten poprą z pewnością i „neutralni“ radcy miejscy, mając w ten sposób zapewnioną na każdy piątek dostawę „z urzędu“.

Cena rybek wahała się w tym roku między czterdziestu i kilku koronami a siedmdziesięcioma za kilogram, nic też w tem dziwnego, że na taki wydatek mógł sobie pozwolić tylko bardzo zamożny, to jest paskarz lub dostawca. Zwykły śmiertelnik nie mógł sobie pozwolić w dzień wigilijny nawet na zwykłego marynowanego śledzia, kazano bowiem za sztukę płacić ośm koron. Nawet we wojennym czasie neutralne śledzie nie były takie drogie.

Zupełnie taki sam kłopot miały gospodynie z pieczywem wszelkiego rodzaju, od opłatków począwszy na) które kościelni nie dostali mąki...), a na struclach skończywszy.

Ale pokazało się, że się można bardzo wygodnie obejść smakiem, kogo nie stać na kupienie w pasku mąki, cukru, masła i jaj, które przed świętami doszły do niebywałej ceny.

Na Rynku były i drzewka, wydano na nie nawet taryfę maksymalną, której handlarze przestrzegali zupełnie tak, jak nasi krakowscy dorożkarze taryfy fijakierskiej. Nie mając bodaj stu koron na wyrzucenie nie było się po co wybierać na Rynek po drzewko.

A choćby się je nawet i kupiło, co na niem wieszać?... Chyba samemu powiesić się z radości, że tak się wszystko poprawia.

Szósta zatem wigilia od czasu wybuchu wojny była bardzo smutna, skończyła się bowiem na wspomnieniu dawnych, lepszych czasów, kiedy to można było sobie pozwolić na karpia z szarym sosem szczupaka z jajami, lina smażonego, strucle i inne smakołyki, sporządzone według przepisów ś. p. Ćwierciakiewiczowej, należących dziś do „Bajek z tysiąca i jednej nocy“.

Nawet ci szczęśliwcy , którzy bezpośrednio przed świętami otrzymali trzynastą pensyę miesięczną, mieli dość rzadkie miny, pokazało się, bowiem że ta kwota na urządzenie wigilijnego wieczoru na kilka osób nie wystarczy.

Dałby Bóg, aby odtąd każdy rok miał trzynaście miesięcy, zwłaszcza zaś 1920., który, jako przestępny, jest o jeden dzień dłuższy od zwyczajnego. Zato miesiące można skrócić!

Kronikarzowi pozwoliła Weronika w dzień wigilijny udać się w południe do miasta, wyznaczając mu na ten cel łaskawie kredyt w wysokości dziesięciu koron i upominając, by się zabawił „przystojnie“.

Użyła w samej rzeczy tego wyrażenia, aby tem dać do zrozumienia, że nie powinienem przekroczyć miary w jedzeniu i piciu, bo nie zdawała sobie sprawy, że dziś z dziesięciu koronami niema się co i wybierać do publicznej jadłodalni.

Minęły bezpowrotnie te czasy, kiedy to, będąc posiadaczem dziesięciokoronowego banknotu, można było spożyć przyzwoity obiadek, podlany butelczyną wina i zostało jeszcze na czarną kawę i powrót dorożką do domu.

Dziś mając dziesięć koron, a nie rozporządzając jakiemiś kasowemi rezerwami, można zadowolić co najwyżej oko, ucho i powonienie, ale nigdy smaku.

Łamałem sobie też głowę nad tem, na co obrócić owe dziesięć koron, które mi Weronika łaskawie wyasygnować raczyła i doszedłem wkońcu do przekonania, że jeżeli sobie pozwolę na śledzia, nie wystarczy na niezbędne do niego dodatki. Śledź jest rybą, a ryba, jak wiadomo, potrzebuje wina, nie mając bowiem w czem pływać, tłucze się po żołądku i może człowieka przyprawić o chorobę.

A chorować dziś się nie opłaci, gdyż kosztuje to zbyt wiele!

Skończyło się na kieliszku wódeczki (pięć koron) i tak zwanej „kanapce z bryndzą i sardynką“ (cztery korony i pięćdziesiąt halerzy).

I ani się oglądnąłem, a dziesięciokoronówki już nie było, apetyt zaś i pragnienie zaczynały się dopiero upominać o swe prawa.

W pierwszej chwili miałem zamiar dziesięć koron schować na gorsze czasy i, pomimo odwilży i dziurawych butów, pójść na przechadzkę, odwiódł mnie przecież od tego zamiaru jeden ze znajomych, twierdząc, że kto ma korony, niech je wydaje na gwałt, albowiem nowy minister skarbu, pan Grabski, wypowiedział im wojnę i kosztem ich posiadaczy dąży do podniesienia wartości polskiej marki oraz unifikacyi waluty.

Głoszono, że każdy, kto ma bodaj dziesięć koron, musi je złożyć w państwowej Kasie pożyczkowej, gdzie o ile będzie potrzebował monety, otrzyma zaliczkę w markach, po siedmdziesiąt fenigów za koronę.

Aby i mnie to nie spotkało, wolałem wydać od ręki moje dziesięć koron. Później dopiero przekonałem się, że moje obawy były bezpodstawne, wydano bowiem tego rodzaju nakaz, odnoszący się jednak do tych, którzy mają więcej aniżeli dziesięć tysięcy w gotówce. A ja, jak się zdaje, nigdy w tem miłem położeniu się nie znajdę, chyba gdyby zapisał mi co jaki amerykański wujaszek lub „ciepła“ ciocia. Niestety, takich nie posiadam.

Pan Grabski nie zapomniał więc i o Małopolsce, a dowód swej pamięci dał nam w swym gwiazdkowym podarunku, mającym radykalnie wypróżnić nasze kieszenie na korzyść warszawskich spekulantów. Pierwsze kroki nowego ministra, który miał być mądrzejszy nawet od dra Bilińskiego, spotkały się z niezbyt życzliwem przyjęciem ludności byłego zaboru austryackiego.

Z wycieczki mojej wróciłem głodny i spragniony, w domu dostałem zaledwie szklankę herbaty z sacharyną i musiałem wysłuchać kazania na temat lekkomyślności, że w tak krótkim czasie „przepucowałem“ całe dziesięć koron.

To odebrało mi humor, będąc zapowiedzią, że mogę się czegoś podobnego spodziewać przez rok cały.

Wieczoru wigilijnego opisywać nie myślę, bo i cóż o nim powiem, skoro nie było ani ryb, ani strucli, ani nic innego, bez czego po inne lata ta familijna uczta obejść się nie mogła. Z czczym żołądkiem udałem się zatem na spoczynek, słysząc na dobranoc zapewnienie Weroniki, że mi to może wyjść tylko na zdrowie, będę miał bowiem sen spokojny.

Oba dni świąteczne podobne do siebie jak dwie krople wody. Na ulicy mokro i zimno, w domu natomiast sucho i zimno.

— Mój Boże! — pomyślałem sobie — Kiedy też znowu wrócą te dobre czasy, że człowiek bodaj w te dni pozwoli sobie na butelczynę jakowejś „wilgotności“ ale nie bielańskiej!...

Przez oba dni drzwi się poprostu nie zamykały, ale to dlatego, ponieważ nikt ich nie otwierał. Ludziska siedzieli w domu, narzekali na świętą Barbarę, że nas wykiwała (jak to zresztą stale czyni co roku!... przyp. zecera) i przeżuwali... wspomnienia.

We czwartek odwiedziłem jednego z mych politycznych przyjaciół, który prosił mnie, abym do niego „wpadł we święta“. Widocznie nie brał słów swych na seryo, zdziwił się bowiem, gdy mnie u siebie zobaczył, przyjął mnie przecież ze staropolską gościnnością. Czekał na mnie nawet z obiadem, co trzeba rozumieć w ten sposób, że zasiadł do stołu dopiero po mem odejściu.

Wspominając o pogodzie, muszę stanąć w obronie św. Bronisławy, którą meteorologiczny sprawozdawca *Kuryerka* pociąga do odpowiedzialności za świąteczną odwilż. Ona temu nie jest winna z pogodą nie ma nic wspólnego, narzekania zaś w tym kierunku należy zwracać pod adresem św. Barbary.

Ale nie tylko św. Barbara zawiodła!... Nie dopisał także i św. Jan Ewangelista, w którego imieniny można się było napić bodaj święconego wina w kościele. Kto miał dobre nogi, mógł oblecieć kilka kościołów i łyknąć sobie tu i tam. W tym roku nici i z tego!

Pod sam koniec roku zabrał się natomiast do nas mrozik i to wcale niezgorszy, taki sobie przedwojenny, prawdopodobnie dlatego, aby mieć tem większą fantazyę na noc Sylwestrową, na którą zapowiedziano cały szereg rozmaitych rozrywek, ale tylko dla tych, co to, dzięki wojnie, wypchali swe portfele i proszą Pana Boga, aby normalne warunki nigdy już nie wróciły, bo to w mętnej wodzie zawsze łatwiej łapać rybki.

I w „Sylwestra“ siedziało się więc w domu, ale Kraków *ut fama fert* bawił się wybornie. Restauracye i kawiarnie były pełne, większość przecież bawiących się stanowili ci, którzy Nowy Rok obchodzą we wrześniu, a nie w styczniu. Być może, że w ten sposób chcą dać dowód swej neutralności.

Sam dzień Nowego Roku nie różnił się niczem od zwykłego dnia powszedniego. Gratulantów mniej niż po inne lata, przez cały rok zarabiają bowiem tyle, iż, jak się jeden z nich wyraził, „nie opłaci się nawet fatygować po tę głupią koronę i strzępić gębę po próżnicy...“

I miał racyę. Jeśli porównam moje dochody z dochodami stróża kamienicznego, który jest prócz tego i węglarzem, twierdzę zupełnie seryo, że nie ja jemu, lecz on mnie powinien w ten dzień „wsadzić coś w łapę...“

Nie zapomniał natomiast o mnie gospodarz i zjawił się, ale tylko po to, aby zawiadomić, że ponieważ magistrat ma zamiar w niedługim czasie nałożyć na kamieniczników nowe ciężary, on, jako przewidujący, dziś już podnosi czynsze lokatorom, co, jeśli chcą, mogą uważać za noworoczny podarunek.

I rozpoczęliśmy znów zwykłe borykanie się z losem, ciesząc się nadzieją, że przecież kiedyś będzie lepiej.

Ale kiedy?... Na to odpowiedzieć mógłby prorok, a nie kronikarz, nie umiejący czytać w kartach przyszłości. Bo, że się i losowi raz sprzykrzy i że się odmieni, o tem niema dwu zdań, rozchodzi się przecież o to, aby się to stało jak najrychlej, byśmy wrócili do owych szczęśliwych czasów, kiedy to „złocista, wonna i słodka strucla świąteczna“, na której cześć pan *Haef* śpiewa prozą hymn w *Kuryerku*, będzie nie mitem tylko i wspomnieniem, lecz rzeczywistością!...

Sytuacya polityczna jest stale niejasna, zwłaszcza o ile to dotyczy spraw wschodnich. Zapowiadają nam jakieś niespodzianki ze strony bolszewików, którzy podobno przygotowują się do wielkiej ofenzywy na całym polskim froncie. Dałby Bóg, aby już raz urwać łeb tej czerwonej hydrze, a wtedy odetchniemy spokojniej, z nami zaś cała Europa, którą wyprowadzają z równowagi „wschodnie wiatry“, przed którymi musimy ją zasłaniać.

Marya Toczyska Sogony.

BEZ STERU

Powieść.

23

— O czem się pan dowiedział, panie Jerzy? — zaniepokoiła się żywo pani Anna. Czy stosunek Janki do męża pogorszył się jeszcze?

— Nie mógł się pogorszyć, bo nigdy dobrym nie był. Takie małżeństwo gdzie wola własna nie grała żadnej roli, nie mogło dać innych rezultatów. Janka wyprowadziła się od rodziców, bo sami tego podobno chcieli i żyje teraz w największej nędzy, zarabiając szyciem, a Lisiewicz bawi się i pije.

— Co pani mówi? To przecież strasznel jak ona może żyć w takich warunkach?

— Otóż to właśnie! Dopóki ona sama nie opamięta się i nie zechce wyrwać z tego piekła, które ją doszczętnie zniszczyć może, nie widzę dla niej żadnego ratunku ani pomocy. Postanowienie odejścia od męża musi w niej dojrzeć samoistnie, żadne uboczne wpływy i namowy nic tu nie pomogą...

— Ależ takie życie zabić ją może! — zawołała pani Anna, oburzona trochę spokojem Leszczyca.

— Życie nie zabije pani Anno, może tylko zniszczyć w człowieku to, co miał najlepszego, jeżeli był słaby, albo udoskonalić go, jeżeli był silnym. Jest to próba ciężka i niebezpieczna. Jeżeli Janka wyjdzie z niej zwycięzko...

— Jak to pan rozumie... — przerwała niecierpliwie pani Anna.

— Czy pani sądzi, że można nakłonić człowieka do czegoś wbrew jego woli bezkarnie dla niego i dla siebie? Jeżeli Janka dojrzewając w tych ciężkich przejściach nie znajdzie sama prawdziwej drogi, którą iść powinna, my ją na nią skierować nie powinniśmy. Bo wtedy jasnem będzie, że za słabą była duchowo, aby wyrosnąć w niej mogło samoistne pragnienie lepszego życia. Ulegnie okolicznościom, tak, jak to raz już było z jej małżeństwem i przyzwyczaić się do tego, co teraz może jej się strasznem wydaje...

— Ale wtedy uczyniła to z poświęcenia dla rodziny, Isi — broniła Janki pani Anna.

— Tak, bo lękała się walki z życiem, do którego czuła się za słabą. Przecież pani wie najlepiej, jak było. Chodziło o przeczekanie jakichś dwóch lat najwyżej. Przymusem i chwytaniem się bezwzględnych jakichś środków zaradczych nie układa się życia. Wszystko wyrastać powinno na podkładzie dojrzałych rozmyślań i osobistej woli. A to co jest poza tem, jest oszukiwaniem samego siebie i surogatem prawdy, bez której żyć nie można.

— Może pan ma słuszność — szepnęła pani Anna, zamyślając się. Ale jednak — dodała po chwili z nowym wybuchem niepokoju w głosie. Czy to nie bezwzględnie i okrutnie trochę czekać tak na to, co się z nią stanie? A jeżeli ona się zmarnuje, to jest przywyknie do tego, co ją otacza. Jeżeli poczucie obowiązku silniejsze będzie będzie u niej niż pragnienie wyzwolenia się?

— Poczucie obowiązku nie może doprowadzić do przyjmowania rzeczy złych i podłych. Ja czekam pani Anno, czekam na przebudzenie się Janki i chcę wierzyć, że doczekam się tej chwili.

— A jeżeli tak się nie stanie panie Jerzy?

Cień przebiegł po twarzy Leszczyca i smutnym uśmiechem osiadł na jego ustach.

To trudno! — wyrzucił z siebie z jakimś rozpaczliwym uporem. Nie chcę przymusem zdobywać czegoś dla siebie. Ale nie! nie! Tak nie będzie pani Anno! tak być nie może! Ja wierzę w Jankę. Ona przetrwa tę próbę i wyjdzie z niej lepszym i doskonalszym jeszcze człowiekiem.

— Ale czy ona zniechęcić się nie może brakiem wiadomości o panu — zahazardowała jeszcze pani Anna. Jeżeli w niej zrodzi się przekonanie, że pan przestał zajmować się jej losem, że ją opuścili ci, na których może jedynie liczyła?

— I to jeszcze nie powinno zaważyć na jej postanowieniu rozejścia się z mężem. Jeżeli uczuje, że to jest dla niej koniecznem i potrzebnem, to żadne inne względy nie powinny ją powstrzymać do odzyskania wolności. A to, co potem nastąpi pani Anno, to jest rzecz już zupełnie inna. Niech mi pani wierzy, że nie chciałbym, aby w tak decydującym dla niej kroku, ta myśl miała nią kierować. Niech to przyjdzie samo z siebie, albo niech nie przyjdzie wcale.

— Dziwny z pana człowiek — nie mogła się powstrzymać od zrobienia uwagi pani Anna.

— Nie, pani Anno — uśmiechnął się smutnie Leszczyc. Tylko widzi pani, ja nie chcę ani sobie, ani drugim dawać kradzionego szczęścia, bo takie rzeczy lubią się mścić potem w życiu.

— Mnie bardzo żal Janki. Dziś jeszcze napiszę do niej i dowiem się może jakich bliższych szczegółów. Chciałabym ją też chociaż w części uspokoić co do Isi. Zdaje mu się, że nasza sprawa zaczyna wchodzić na lepszą drogę. Może przecież cierpliwością i uporem uda się nam pokonać tego starego Walewicza.



Zawołać mi tu zaraz kasyera.

Wejście Isi, niosącej na tacy zastawę do herbaty przerwała dalszą rozmowę.

— Ho! ho! co za poważne miny! — zaśmiała się od progu. Pewnie znowu rozpaczaliście nademną? A mnie tu tak dobrze odkąd wyjechałam z tego Krakowa, że zgodziłabym się tak żyć do starości. Jednej tylko rzeczy brakuje mi do szczęścia — dodała, stawiając tacę na stole i spoglądając z widoczną urazą na Leszczyca.

— Powiedz dwóch! — roześmiała się pani Anna, domyślając się, że myśli o Jance. Bo nie przestałaś już chyba myśleć o panu Henryku?

— Oh nie! — odparła Isia poważnie. Ale tamta to już rzecz pewna i załatwiona, nad którą już nie potrzebuję sobie głowy łamać — a to...

I znowu niechętne spojrzenie pobiegło w stronę Leszczyca.

— No — no — zreflektowała ją pani Anna. — Myśl ty teraz lepiej o sobie. Czyś ty taka już pewna wygranej, że już zaczynasz zajmować się drugimi?

— Całkiem pewno — odparła Isia stanowczo. Niedługo, jako pani Walewiczowa, przyjmować będę państwo u siebie.

— Oh! co za zarozumiałość — zaśmiał się Leszczyc, porwany dobrym humorem Isi. A jeżeli nadzieje zawiodą.

— To założę z panią Anną magazyn sztucznych kwiatów i sprawa skończona! — zawołała Isia. Jankę sprowadzimy tutaj i będziemy żyć jak w raju. Ale na złość panu tak się nie stanie. Ani się pan nie spostrzeże, jak pan będzie musiał mnie z uszanowaniem w rękę całować, jak starą mężatkę...

V.

Stary Walewicz siedział w kantorze swojej fabryki. Już od samego rana cały personal zauważył zły humor i rozdrażnienie szefa. Odbył jak zwykle codzienny swój przegląd po biurach i salach, huczących nieustającym szumem gorączkowej pracy, zaledwie niedbałym skinieniem głowy, odpowiadając na pozdrowienia urzędników i robotników, czyniąc po drodze zgryźliwe uwagi, rzucając surowe napomnienia.

— Trzeba się pilnować, stary jakąś złość dusi w sobie — szeptali robotnicy za nim.

W końcu Walewicz zamknął się w swoim kantorze, oznajmiając służącemu na straży w przedpokoju, że dziś nikogo przyjmować nie będzie.

Usiadł ciężko przed biurkiem, założonem papierami i księgami rachunkowemi, nie zwracając nawet uwagi na stos listów, przyniesionych z poczty porannej.

Długą chwilę siedział zamyślony, wpatrzony w zakratowane okno, wychodzące na obszerny dziedziniec. Sucha, pożółkła jego twarz, okolona siwiejącemi faworytami, pokryta była jakimś cieniem niezadowolenia, a na wysokie czoło występowała coraz głębsza sieć poprzecznych zmarszczek, świadczących, że rozmyślania jego nie należały do najweselszych. Po jakimś czasie powstał z fotela i otworzywszy drzwi do przedpokoju — zawołał donośnym głosem:

— Zawołać mi tu zaraz kasyera.

Po paru minutach wszedł do kantoru mały, zasuszony człowiek, o małych, bystrych oczach. Był to kasyer Schmidt, pełniący już od lat dwudziestu służbę swoją we fabryce.

— Pan pryncypał mnie wołał? — zapytał suchym, bezwdzięcznym głosem:

— Słuchajno Schmidt — rzekł Walewicz, zwracając się poufale do starego urzędnika, dawno pan Henryk wyszedł z biura?

— Pan buchalter nie był wcale jesze dzisiaj we fabryce — odparł kasyer.

— Nie było jeszcze we fabryce — powtórzył Walewicz ze zdumieniem. Cóż to znowu ma znaczyć?

— A cóż proszę pana szefa, nie pierwszy się to raz zdarza. Od jakiegoś czasu pan Henryk bardzo się opuścił i tylko gościem jest tutaj. Wczoraj nawet mówił do mnie, że dosyć już ma tego wszystkiego i tak mu się coś zdaje, że się tu chyba więcej nie pokaże.

— Co! Co ty mówisz? on miał tak powiedzieć — oburzył się Walewicz, porywając się z fotelu. Więc do tego już doszło, że moja władza tu jest bez znaczenia. Ale ty przecież Schmidt musisz coś wiedzieć. On miał do ciebie zawsze zaufanie od dziecka. Wiesz o co mu chodzi? Mówił ci co więcej?

Stary kasyer odchrząknął parę razy i milczał, wahając się widocznie.

— No, mówże u dyabła — zniecierpliwił się Walewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowy gabinet w Warszawie.

Przesilenie gabinetowe tygodniami całemi falujące na tę i ową stronę ostatecznie doszło do stadyum zdeterminowanego rozwiązania z chwilą, gdy wiadomość o dymisyi Paderewskiego, nurtująca



Nowy gabinet w Warszawie: Prezydent ministrów Skulski.

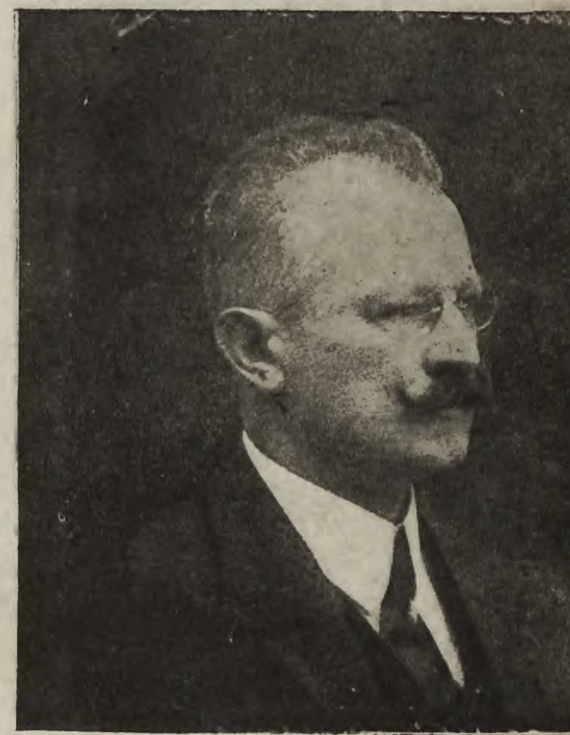
w kolnarach sejmowych stała się pewną Z kolei rzeczy nastąpiło przegrupowanie opinii i wreszcie sytuacya wymęczona przez długie pertraktacye i konferencye, mające na celu stworzenie klucza, opierającego się na większości, przetarła się.

Dymisya Paderewskiego nie mogła być nieoczekiwaną, wobec zasadniczego faktu, trudności stworzenia większości, o którą by się przyszły gabinet mógł oprzeć. Przeciwko kandydaturze Paderewskiego na premiera stanęło najpotężniejsze dziś w Sejmie Stronnictwo Ludowe. Liczba 109 członków, stanowiących zwyż czwartą część całej Izby poselskiej, jest siłą, która ma prawo domagania, by się z nią liczono. Sytuacya z każdym dniem stawała się krytyczniejszą: wewnątrz Sejm bez busoli, zewnętrzna polityka waliła się w gruzy wobec bezwzględnej opozycyi ze strony Angli w sprawie wschodnich granic. Dopiero po długich staraniach i to już w chwili najkrytyczniejszej zdołano ustalić nowy gabinet, na którego czele stanął premier Skulski

Wygłoszone exposé nowego premiera na ogół zrobiło dodatnie wrażenie. Wcale wyczerpująco omówiono w niem zwłaszcza sprawy wewnętrzne Rzeczypospolitej przy ogólnem naszkicowaniu polityki zagranicznej, gdzie miejsce dla wywodów nowy premier zastrzegł dla ministra spraw zagranicznych Patka, ograniczając się jedynie do nakreślenia szlaku, na którym sprawy Polski mają się toczyć. Omówiwszy kwestyę Galicyi wschodniej, po manowcach polityki zewnętrznej poza tem nie zapuszczał się zbyt głęboko. Deklaracya nowego rządu była jednak ogólnikową, aby można było osądzić choćby w przybliżeniu przyszłą wartość gabinetu. Osądzić będzie można dopiero po czynach. Bo dość już wszelkich deklaracyi, które pracy nie stanowią i Ojczyzny nie zbudują. Zdaje się, że nowy gabinet jasno sobie z tego zdaje sprawę i można mieć nadzieję, że program rządu w najdrobniejszych szczegółach wejdzie na realne tory jak najlepszych rezultatów. Czas już jest potemu wielki, aby raz zerwać z wszystkiemi obchodzeniami pracy i zabiegami bezowocnemi, trzeba myśleć trzeźwo i trzeźwo działać, a przedewszystkiem stanowczo. Wrogów mamy dość. I dlatego dziś czeka się na wyzwolenie z błędnego koła słów, na rząd prawdziwie rządzący, czeka się na widoczne rezultaty pracy.

* * *

Prezydent gabinetu, Leopold Skulski, urodzony w roku 1887 w Zamościu, ukończywszy gimnazyum lubelskie, oraz chemię na politechnice w Karlsruhe, z dyplomem inżyniera, wrócił do kraju i osiadł w Łodzi, gdzie założył laboratoryum chemiczne. W roku 1916 wybrany nadburmistrzem Łodzi, dał się poznać na tem stanowisku jako świetny gospodarz i poza tem jako człowiek, posiadający niezwykły dar godzenia waśni partyjnych. Jeden z twór



Nowy gabinet w Warszawie: Minister spraw zagranicznych dr. Patek.

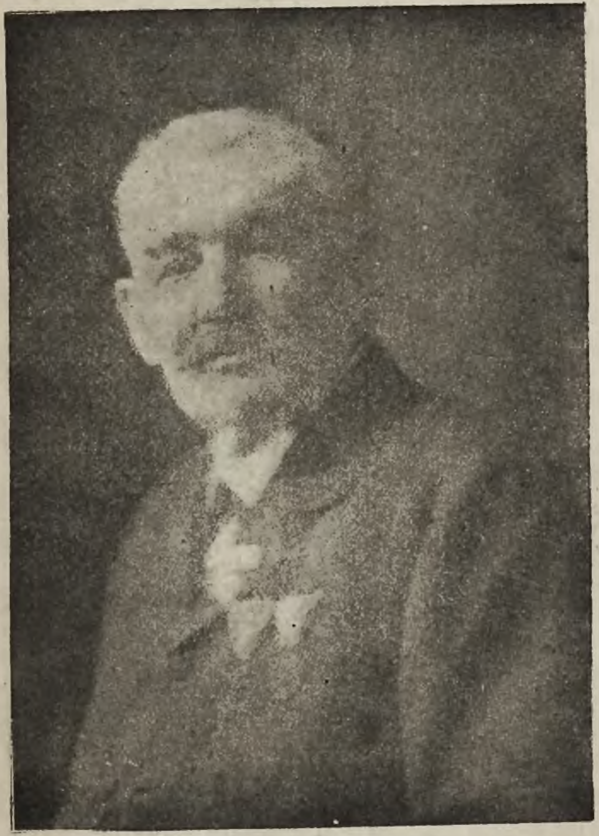
ców łódzkiego Narodowego Zjednoczenia Ludowego położył znaczne zasługi dla Łodzi, które zjednały mu wielką popularność i mandat do Sejmu. Początkowo wraz ze swą grupą wstąpił do Związku Ludowo narodowego, w lecie zaś b. r. utworzył samodzielną grupę Nar. Zjedn. Lud. i stanął na jej czele.

Minister spraw zewnętrznych, Patek, był za czasów rosyjskich obrońcą, obwinionych politycznie. Za czasów polskich został mianowany delegatem na konferencyę pokojową. Dzięki energii i zręcznej



Nowy gabinet w Warszawie: Od lewej ku prawej: minister handlu i przemysłu Olszewski, minister skarbu Grabski, prezydent ministrów Skulski, minister spraw wewnętrznych Olszewski, minister sprawiedliwości Hebdczyński, podsekretarz stanu przy prezydencie ministrów Wróblewski, sekretarz rady dr. Koppens, minister pracy Pepłowski, minister poczt i telegrafów Tołłoczko, minister wyznań i oświaty Łopuszański, minister aprowizacyi Śliwiński, minister wojny gen. Leśniewski, wiceminister na Poznańskie Poszwiński.

polityce osiągnął dla Polski sukces ogromny w sprawie Galicyi wschodniej; rezultatem było oddanie Polsce ziemi, której nie chciano nam przyznać, mimo naszych historycznych i kulturalnych praw.



Zgon weterana z r. 1863: S. p. Aleksander Maćkiewicz.

Zgon weterana z r. 1863.

Znowu zgasło jedno życie z pośród tych niewielu już dziś gwiazd, które były przewodnikami dla narodu polskiego. Życie pełne ofiary i pełne bólu na widok upadającego snu i upadających nadziei. Nadzieje nie upadły i w posiewie wojny zabłysły złotem słońcem wolności.

W niedzielę 28. grudnia r. z. odbył się pogrzeb weterana z 63 r. por. Aleksandra Maćkiewicza, adiutanta partyi Zychlińskiego. W pogrzebie wzięły udział delegacye wojskowości, weterani 63 r. i liczne zebrana publiczność. Nad grobem przemówił ppor. Tomaszkiewicz, wskazując na styczniową noc, jako na akt tej samej sprawy, której prologiem Racławice, a epilogiem ostateczne wypędzenie wroga z ziem polskich. I nad grobem uniosła się święta pamięć tych, którzy walczyli w ciężkich okolicznościach, ale swym trudem budowali gmach Polski. „Byłem Twoim dowódcą, przyjacielem i towarzyszem z walki bardzo nieszczęśliwej dla narodu polskiego, aleśmy walczyli w dobrej wierze, że spełniamy naszą powinność i nasz obowiązek wobec ukochanej Matki Ojczyzny". (Pryw. list Ludwika Zychlińskiego do Maćkiewicza). Tak, to były wytyczne, na których opierało się życie ś. p. Maćkiewicza i stąd powinno ono być pochodnią dla dzisiejszego pokolenia.

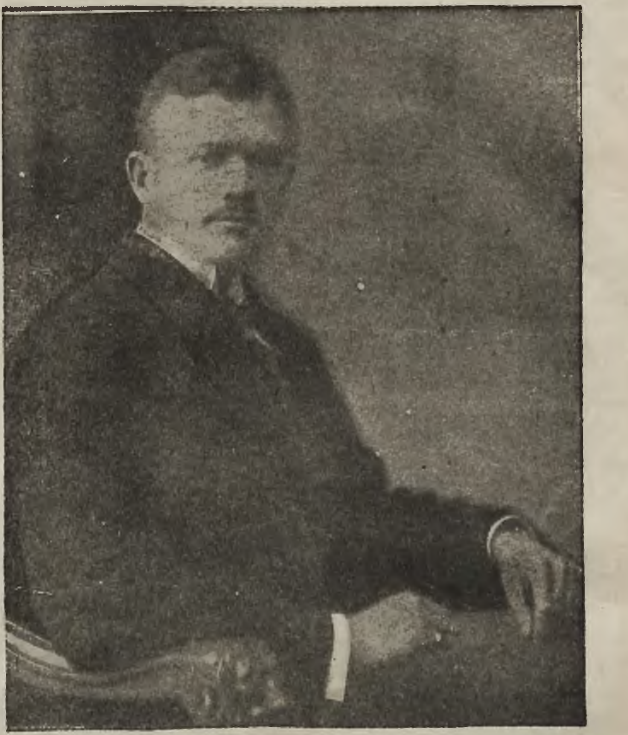
Polski konsul w Nowym Jorku.

Z każdym dniem obejmujemy nowe placówki dyplomatyczne. W ostatnich czasach został mianowany konsulem Rzeczypospolitej przy generalnym konsulacie w Nowym Jorku i zarazem zastępcą generalnego konsula na Stany Zjednoczone dr. Tadeusz Belina Prażmowski rodem z Krakowa.

Syn profesora uniwersytetu Jagiellońskiego zdał z wyróżnieniem egzamin dyplomatyczno-konsularny, urządzony przez ministeryum spraw zagranicznych i zwrócił na siebie uwagę wybitnemi zdolnościami i wielką pracowitością. Dzięki temu z dotychczas zajmowanego stanowiska referenta ministeryum spraw zagranicznych został powołany na zaszczytną i tak ważną placówkę w Stanach Zjednoczonych.

Magazyn instrumentów lekarsko-naukowych Stanisława Barana i Ski.

Przemysł polski wzbogacił się nową, katolicką firmą, która powstała przed kilku miesiącami w Krakowie. Jest to magazyn instrumentów lekarsko-naukowych, założony przez p. Stanisława Barana, a mieszczący się przy ulicy Sławkowskiej l. 6, vis à vis Hotelu Saskiego. Szef firmy, p. Stanisław Baran, po ukończeniu szkół średnich poświęcił się mechanice, a przedewszystkiem pracy około studyowania za granicą ulepszeń instrumentów chirurgicznych. Zwiedził on tego rodzaju fabryki we Francyi, Austryi, Niemczech, we Włoszech i Czechach Gruntownie zapoznał się z fabryką Scheera w Tutlingen w Wirtembergii. Podczas wojny pracował przez 36 miesięcy na sali operacyjnej w polu, jako główny instrumentaryusz, pracując pod okiem powag europejskich. Nabrawszy doświadczenia, jako inwalida wrócił do Krakowa i założył tu wielki magazyn instrumentów lekarsko-naukowych, oraz wielki warsztat, w którym wykonuje wszelkie roboty w ten zakres wchodzące, szczególnie instrumenty chirurgiczne, meble operacyjne, kompletne urządzenia klinik, szpitali i t. d. Jako jedyny w tej dziedzinie fachowiec Polak-katolik, zyskał już szczere poparcie ze strony klinik uniwersyteckich i szpitali Małopolski, oraz wielkie uznanie wśród powag uniwersyteckich. W warsztatach pracuje narazie 12 fachowych sił, które



Polski konsul w Nowym Jorku: dr. Tadeusz Belina Prażmowski.

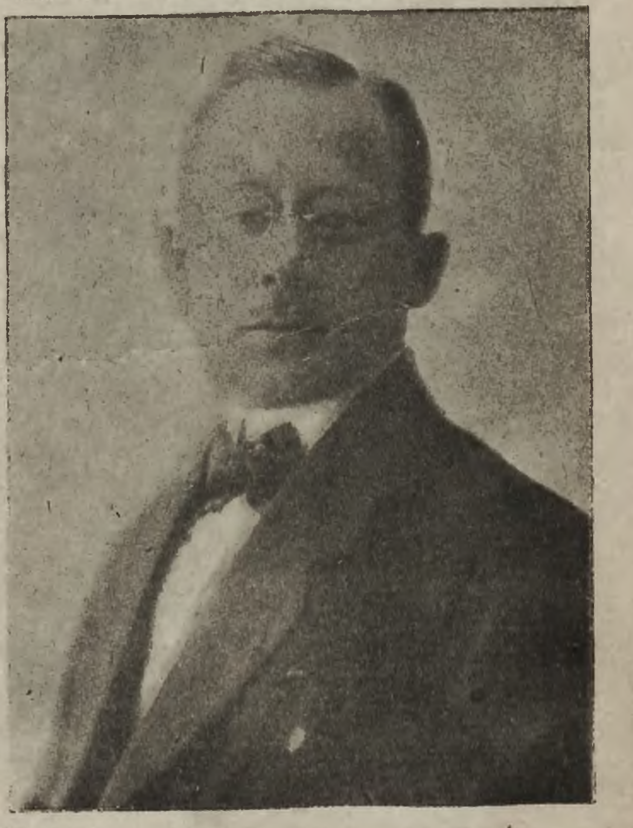
uczą młode siły polskie nowej gałęzi przemysłu polskiego.

Magazyn urządzony jest wedle wymogów nowoczesnych, z niesłychanym komfortem, a wystawa z przepychu urządzona, budzi podziw u przechodniów. Warsztaty rozmieszczone koło magazynu, przedstawiają się imponująco, szczególnie uderzając niezwykłą czystością i porządkiem. Gdy wejdzie się do tego nad wyraz starannie urządzonego zakładu, uderza przedewszystkiem ta systematyczność i porządek, wskazujące, że kierownik firmy jest znawcą i fachowcem tej gałęzi przemysłu. To też zjeżdżają z całej Małopolski liczni klienci na zakupy solidnego i pierwszorzędnego towaru, sprzedawanego po znacznie niższej cenie, niż inne tego rodzaju przedsiębiorstwa.

Firma Baran i Ska jest pierwszą firmą w Polsce, która w tak krótkim czasie potrafiła zjednać sobie tak wielką klientelę. li tylko przez swoją sumienność, solidne traktowanie odbiorców, doborowy i pierwszorzędny towar, oraz uprzedzającą grzeczność. Firma ta zasługuje na poparcie, to też życzymy jej „Szczęść Boże" do dalszego rozwoju rodzimego polskiego przemysłu.



Magazyn instrumentów lekarsko-naukowych Stanisława Barana i Ski: Wystawa.



Magazyn instrumentów lekarsko-naukowych Stanisława Barana i Ski: Szef Stanisław Baran.



Zakład chirurg czny.



Motyw sklepu.

Magazyn instrumentów lekarsko-naukowych Stanisława Barana i Ski:



K ncelarya kierownika zakładu.



Oddział przyrządów chirurgicznych.

Magazyn instrumentów lekarsko-naukowych Stanisława Barana i Ski:



Magazyn instrumentów lekarsko-naukowych Stanisława Barana i Ski: W warsztacie.

Od Wydawnictwa.

Na przełomie dziejów, w chwili wyzwolenia naszej Ojczyzny z więzów niewoli — zaczynają „Nowości Illustrowane" siedmnasty rok swego wydawnictwa... Wielkie chwile, jakie przeżywamy, wkładają na nas wielkie obowiązki, tem większe, że „Nowości Illustrowane" są **jedyną na ziemiach polskich illustracyą chwili bieżącej.**

Zdajemy sobie sprawę z trudności, jakie stają nam na drodze w tych ciężkich czasach. Możemy jednak z dumą spojrzeć na miniony okres naszej działalności, co można było osiągnąć przez korzystanie z obcych źródeł illustracyjnych, staraliśmy się przedewszystkiem o illustrowane zobrazowanie dziejowych wydarzeń w Polsce.

Ze względu jednak na podrożenie papieru, cennika drukarskiego i materyałów potrzebnych do sporządzania klisz, zmuszeni jesteśmy do podwyższenia cen prenumeraty, która będzie wynosić:

kwartalnie **37·40 kor.**
półrocznie **74·80 kor.**
rocznie **149·60 kor.**

Egzemplarz pojedynczy 3 korony.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.
Ułożył F. Jamiński, Kraków.

Z każdego tytułu wyjąć jedną literę i ułożyć z nich nazwisko herbu Mickiewicza.

Pan Tadeusz, Sonety krymskie, Konrad Wallenrod, Grażyna, Koncert Jankiela.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożyła Marya S., Tarnów.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko ustawodawczej instytucyi.

— adi
— mar
— uma
— oła
— eka
— ard
— uła
— gor
— mos
— uta
— aca
— men.

Grzebieniówka.
Ułożył K. Malinowski. Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy poda życzenia, jakie składamy P. T. Czytelnikom.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —

Znaczenie wyrazów. 1) Miejscowość klimatyczna w Galicyi. 2) Dopływ Wisły, 3 Imię męskie. 4) Imię jednego z kalifów. 5) Drogi kamień. 6) Pasmo górskie.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył J. Jaworski, Lwów.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane przysłowia:

1) - a - - a - - ę - u - - ie - i - ą.
2) - o - y - o - - o - u - ię - ie - ci.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody. 1) A. Gruszeckiego: „Po ślubie" (powieść) 2) paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 52

Okienko. Mekka, kokon, Agnus.

Kwadrat magiczny. Hora, opat, rano, atom.

Logogryf. B, nos, ł, Ren, osa, ł, Pac, Ewa, era, Brody, bajka, brama.

Zadanie na rozsypane litery. Cicha woda brzegi rwie.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: S. Augustynowicz Kołomyja, M. Halawa Kraków. S. Górski Warszawa, J. Czarkowski Poznań, Z. Karpińska Jasło, J. Dudziński Kraków, J. Antosz Rzeszów, M. Decowski Kraków, M. Zak Zakopane, J. Dworzański Lwów, Z. Sperling Wiedeń, K. Patelski Jaworów, M. Ogibińska Wadowice, S. Krzyżanowski Warszawa, H. Jasiński Kraków, M. Kalinowski Wadowice, T. Cichocki Warszawa, Z. Więckowski Lwów, M. Rybicka Przemyśl, S Kozakiewicz Rzeszów, S. Jaworski Lwów, M. Kamińska Piotrków, L. Kołodziejski Częstochowa, H. Bandrowska Łódź, K. Kwaśniewski Kraków, H. Obst Lwów, D. Rosenbaum Rzeszów, Z. Suligowska Zakopane, J. Rataj Wadowice, H. Gartner Lwów, B. Popiel Stanisławów, S. Bielawski Tarnów M. Balicka Sanok, Z. Zawadzki Lwów, K. Opolski Kraków, S. Kalczyński Jordanów, M. Porębska Zakopane, H. Malinowski Zamość, K. Ostrowska Brody, Z. Piasecki Sandomierz, R. Kinalski Tarnopol, H. Schmidt Kraków. W. Raczyński Oświęcim, B. Zawiejska Warszawa, H. Wnęk Rzeszów, M. Włodek Skierniewice, H. Galiński Sambor, K Radziński Zakopane, F. Jamiński Tarnów, B. Siewarga Bochnia, J. Zywicki Lwów, S. Michalik Stanisławów, S Rogalska Warszawa, M. Chyżewska Ostrów, J. Kaczkowski Poznań, J. Dziedzic Zakopane, S. Zamorski Warszawa. K, Gruber Lwów, K, Lisowski Kołomyja, R. Tokarski Radom, H. Roland Warszawa, C. Górny Limanowa, H. Wereszczyński Lwów, ks. J. Welc Sanok, T. Kajfasz Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymali: 1) H. Wnęk Rzeszów (książka) 2) T. Cichocki Warszawa (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 75 hal. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. C. Górny, Limanowa: Rozwiązanie zagadek z Nru 49 nadeszło z niewiadomych przyczyn już po zamknięciu, a nawet wydrukowaniu numeru.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarządem Stefana Karczmarskiego.